Lwów, 11. Kwietnia. № 43. Rok 1854.

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobote.* We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następne po 1 1/2 kr. i za dopłatą 10 kr. stęplowego.

Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

ZNAJDA.

Powieść w jednym tomie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Dwa nowe epizody.

(Ciąg dalszy.)

W czasie gdy tę nową wypróżniał szklankę, Eugenia idąc do pokoju sypialnego stanęła we drzwiach, i zgrabnym ruchem głowy i skinieniem palca dała panu Stanisławowi znak jakiś, niby niecierpliwości, niby wezwania. Pan Stanisław kiwnął na to głową tylko.

— Słuchajno Kaziu! przemówił z wyrazem stanowczym. Ty wiesz że ja jestem twoim przyjacielem...

— No i jakżeż? Castor i Pollux!... wybełkotał.

— Ja ci powiem krótko i węzłowato... ale ty nie uważasz... ty pijany!...

— Co ja! słowo honoru!... sacré nom!... gdyby mnie to kto inny powiedział... ale Castor... I na dowód trzeźwości palnął jeszcze jedną lampeczkę.

— Słuchajże ale uważnie.

— Naturalnie!... ale to niebędzie długie!...

— Ja wiem ilość twoich długów!...

— Wiesz!... wykrzyknął i wybałuszył gwałtem zamykające się oczy swoje. Ty jesteś cudowny człowiek.

— Masz tu rachunek! I dobył papier cyframi zapisany.

— Pięknie napisany rachunek!... te cyfry tak porządnie stoją koło siebie jak baterie butelek...

— Czytaj go!...

— A czytam! czytam!...

— Jak widzisz... z procentami różnemi nowemi i zaległemi.

— Nowemi i zaległemi! powtarzał bez przytomności prawie...

— I kosztami prawnemi, wynoszą wszytkie twoje długi...

— Oho! długi! rozumiem...

— Sto pięćdziesiąt tysięcy franków!...

— Ładna sumka!...

— Czyli, mniej więcej redukując to po kursie różnych monet...

— Rozumiem, rozumiem... różnych monet...

— Ośmdziesiąt tysięcy reńskich w srebrze!...

— Dalipan piękna summa!... Ale ta szelma maderka wyśmienita!...

— Za taką kwotę mógłbyś na długi czas zawędrować na ulicę Clichy.

— Rozumujesz, niech mnie djabli wezmą jak.... jak..., Kopernik.

— Ja mam teraz pieniądze!...

— Masz! pieniądze! O ty wielki człowieku!...

— Dasz jeden weksel na mnie, a ja popłacę długi twoje!....

— Zapłacisz!... O ty jesteś rzymianin... a ci błazny w kraju dowodzili że ty meches!..

— Napisz weksel, a ja zapłacę...

— Napiszę! to moja passya pisać weksle... dawaj go tu!

Jakoż pokazało się że w rzeczy samej weksel już gotowy był w kieszeni pana Stanisława. Pan Kazimierz porwał podane sobie pióro i podpisał.

— Czemże ci wywdzięczę, ty najcnotliwszy z cnotliwych Mucyjuszu! Co każesz zrobię... jakem Zaklicki... słowo honoru...

— Kto wie!.. może ci to przypomnę w kraju... odpowiedział Stanisław z dziwnym na twarzy wyrazem. Jutro, dodał, wszystkie twoje długi wekslowe i karciane będą zapłacone.

— Wiwat przyjaźń! krzyknął pan Kazimierz z ostatniem wysileniem spitego człowieka!... Eugenio!.. chodź tu! uściskaj go, pocałuj... i... vive l'amitié! krzyknął raz jeszcze i raz jeszcze nową wychylił szklankę. Lecz to była już ostatnia. Jeszcze coś mruknął, i pomału zawrócił głowę w tył; jeszcze chwil parę trzymał się w pewnej równowadze na krześle, aż nareszcie zsunął się z niego i legł jak długi na posadzce.

Pan Stanisław powstał z krzesła swego. Patrzał przez chwilę na leżącego, z wyrazem okrutnej, bezlitośnej, szyderczej pogardy; nawet podniósł nogę, jakby chciał potrącić bezwładne ciało spiącego opoja, lecz się wstrzymał, i raz mu jeszcze przypatrzywszy się z uwagą, zwrócił ku drzwiom i wszedł do głębi pokojów. I było zupełnie cicho w pomieszkaniu pierwszo piętrowem hoteliku na ulicy Breda. Światło świec dogorywających walczyło z brzaskiem rannym, przedzierającym się przez story. Ciszę przerywało tylko silne chrapanie pana Kazimierza.

O tej samej prawie godzinie innego zupełnie rodzaju odbywała się scena w dworze Chałupinieckim. Ciemno i wietrzno, smutno i błotno było, zwyczajnie jak w jesieni.

Przenikliwy kapuśniaczek migał wiatrem pędzony o oświecone okna domu pana Dyzmy Zaklickiego. Okna zadzwoniły czasem piskliwym głosem, wiatr w kominie zabłąkany zajęczał i zawył złowrogo, a od czasu do czasu tam od wsi odzywał się żałobnym głosem pojedynczy dzwonek cerkiewny. Bo w tej chwili właśnie, kiedy w Paryżu syn hulał, marnował pieniądze, i spity usypiał w domie swojej metresy; w tej samej chwili ojciec jego konał na łożu śmiertelnem rozciągnięty. Bez przygotowania poprzedniego, wpośród zajść domowych, wpośród planów z wczoraj na jutro przeciągniętych, przyszła w dom ta śmierć nieubłagana, co według poety rzymskiego, równym wstępuje krokiem do lichej lepianki, i do niebotycznych pałaców. Nagle zasłabł, na chorobę której lekarze dali jakieś nazwisko, choć nie mogli dać żadnego ratującego lekarstwa, i po kilku dniach słabości zaczęło się to u ludzi silnie zbudowanych tak okropne konanie, w którem rwą się gwałtownie wszystkie siły żywotne, jedna po drugiej, jakby pękające strony jakiego instrumentu, póki nie pęknie ostatnia, z ostatnim jękiem.

Właśnie odjechał ksiądz z panem Bogiem, tym gościem często poniewieranym, który przecie nie wzdraga się wejść do domu grzesznika by mu przynieść ostatnią i najlepszą nadzieję, wtenczas kiedy odstępują wszelkie inne ziemskie nadzieje, jutra pozbawione. Sygnaturka cerkiewna dzwoniła głosząc, że się dusza spowiedzią i skruchą oczyszczona oddziela od ciała grzesznego; i niejeden z poczciwych chłopków na wsi, przeżegnał się pokornie, a zapomniawszy na złe jakiego kiedy doznał, pamiętając o dobrem tylko, westchnął szczerze i pożałował serdecznie konającego dziedzica. U starego wójta nie spano zupełnie tej nocy. Siwy staruszek otoczony rodziną modlił się o prędkie i łatwe uwolnienie duszy z więzów ciała, i smutno nieraz zadumał, gdy sobie przypomniał, że on taki stary, drugiego już dziedzica, którego na rękach nosił kiedyś, przeżyć musi.

— Szkoda naszego pana! powtarzali wszyscy Dziubowie. A Marynka najrzewniej płakała, bo z śmiercią pana nikła nadzieja połączenia się z Znajdą którego pomału, niewiedząc sama jak to przyszło, pokochała czule.

Pan Dyzma po wyjściu księdza leżał już bez przytomności. Ciężki tylko i nierówny oddech świadczył o ostatniej walce życia ze śmiercią. Brygadierowa sama już od kilku miesięcy cierpiąca, blada, smutna i zmęczona, bez łez w oczach, które tak są już trudne w wieku późniejszym, siedziała przy łóżku, śledząc spojrzeniem wygasłem każde umierającego spojrzenie. Od czasu do czasu usta jej zaszeptały mimowolnie słowa pacierza, do których wychowanka czasów niewiary za dni szczęśliwych i spokojnych nie była przyzwyczajona. Ale widok śmierci skrusza najniewierniejsze umysły; widok umierającego zwraca najgrzeszniejszą myśl człowieczą do Boga, bo się serce i umysł wzdrygają uwierzyć w to, że ostatniem tchnieniem, życie człowieka którego się kochało, ma się skończyć zniknąć na zawsze. Przy łóżku śmiertelnem męża, żony, ojca, brata, dziecka najjaśniej zrozumiałą wydaje się nieśmiertelność duszy. Co zimny i dumny rozum zaprzeczał, to potwierdza w takiej chwili gorące uczucie. Brygadyerowa patrząc na twarz brata, cieniem już śmierci obleczoną, przeczuwała że i ona wkrótce pójdzie za nim. Jakże błahemi wydały się jej te wszystkie filozoficzne rozumowania, któremi karmiły jej młodość nauki przyniesione do nas z zachodu w ostatnich czasach naszego życia narodowego. I coraz jasnej, wyraźniej przypominały się jej jakieś modlitewki które dzieckiem jeszcze zasłyszała od starej babki. I coraz szczerzej modliła się, wyrzucając sobie, że tyle razy temu umierającemu bratu przez upor dumę lub kaprys sprzeciwiała się bez potrzeby i przekonania. Tylko człowiek zupełnie zły i zepsuty odejdzie od łoża śmiertelnego, nie skruszony, nie poprawiony. W kącie pokoju oparta o biórko ojcowskie klęczała Helenka, i modliła się także, nie słowami, ale łkaniem przytłumionem, którego wstrzymać nie mogła. Łzy już wszystkie wypłakała przez te dnie, modlitwy wszystkie wymodliła, zostały jej tylko te konwulsyjne prawie łkania. Biedna dziewczyna, dziecko prawie jeszcze, i wiekiem i usposobieniem tak czystem i niewinnem, nie umiała zdać sobie sprawy, z tego ciężkiego, odzywającego się w niej, cierpienia samą boleścią. Matki dawno zmarłej nie znała; dziś ma stracić ojca! okropna to boleść, przeczucie sieroctwa! sieroctwa które już trwać będzie aż do grobowej deski. Bo któż zastąpi ojca, matkę? czyja dłoń może tak miękko pieścić, jak dłoń rodzicielska?

W drugim kącie pokoju na sofce siedziała panna Heloiza z chustką przy oczach. Nie aby zakryć oczy łzami zalane, ale żeby spokojnie pod tą zasłoną zadrzemać, co też najsumienniej uskuteczniła.

Umierający leżał w swojej kancelaryi, w której wszystko tam było w tym samym nieładzie, jak za jego dni zdrowych. Ostatnia nawet niedopalona fajka stała oparta o piec, przy którym ostatni zdrowy przesiedział wieczór. Tablica ta dobrze nam znana nie wisiała już na ścianie, ale leżała na stoliczku przy łóżku. Była zapisana jak nigdy na obiedwie strony. Ale nie były to asygnacye na kary jak dawniej. O nie! Przed kilką godzinami, gdy był zupełnie jeszcze przytomny, kazał sobie podać tablicę, i drżącą ręką sam pozapisywał legata to domownikom, sługom i niektórym chłopom, których o ile sobie mógł przypomnieć, na tej samej tablicy, na kary jakie skazał. A napisawszy rzekł słabym głosem do siostry:

— Synowi pod błogosławieństwem nakazuje, aby to wszystko powypłacał. Niech wspomniawszy na tę tablicę nie przeklinają mnie.

I tak mijały sekunda po sekundzie, kwadrans po kwa-

dransie, długie tej smutnej nocy godziny. Pan Dyzma miał oczy zamknięte, twarz przeciągniętą okropnie; wydawałaby się zupełnie nie żywą, gdyby nie cień lampy który czasem kłamliwym mignął po niej ruchem. Zdawało się że już z tego stanu nieprzytomności przyjdzie pomału w stan ostatniego uspokojenia. Każde silniejsze odetchnienie, zabolało w sercu siostry i córki, bojących się by to nie było już ostatnie odetchnienie. Gdy nagle umierający zaczął otwierać oczy, i omdlałem powiódł w koło siebie spojrzeniem, jakby szukał kogo. Otworzył ciężko usta zsiniałe i zapytał zmienionym głosem.

— Znajda!... Znajda!...

Znajdy nie trzeba było daleko szukać. Znajda stał za drzwiami, bo nieśmiał niezawołany wejść do pańskiego pokoju. Ale serce jego, uczucia, myśl i modlitwa były w pokoju umierającego. Biedny sierota wszystkiemi łzami płakał, całem sercem żałował tego nieraz surowego pana. Ale to był jeden przecie jego opiekun; jemu był winien życie, winien wszystko. Z jego śmiercią podwoi się sieroctwo i opuszczenie biednego Znajdy. I jakże jeszcze silniej płakać nie miał, widząc rozpacz córki, tej poczciwej lat dziecinnych towarzyszki, lat późniejszych obronicielki dla której on by chętnie oddał krople po kropli, wszystkę krew żył swoich.

Gdy wszedł Znajda, umierający ledwie dostrzeżonym ruchem palca kiwnął na siostrę by się do niego zbliżyła. Przybiegły obydwie i siostra i córka, rade że jeszcze jedno choć ujrzą spojrzenie, jedno usłyszą słowo.

— Zostawcie mnie samego ze Znajdą! przemówił z ciężkością.

Zdziwione popatrzyły na siebie obie kobiety, lecz bez wszelkiej uwagi zbierały się do odejścia, gdy nagle umierający snać ostatniem natężeniem ostatnie zebrał siły, porwał siostrę za rękę, i ucałował tę rękę tak silnem uczuciem, że się przecie parę dawnych łez dobyło z oczów biednej Brygadierowej. Spojrzał na córkę i przyciągnął ją do siebie, a na jej czole złożył pocałowanie jedno, długie, przeciągłe. Usta całujące były zimne, ale za to gdy Helenka podniosła głowę uczuła dwie gorące na czole krople. To były ostatnie dwie łzy ojcowskie.

— Zostawcie nas samych! powtórzył.

Oglądając się razy kilka wyszły obydwie, a za niemi pociągnęła zbudzona francuzka. I zostali się sam na sam, umierający i Znajda. Kilka długich minut trwała ta dla wszystkich niepojęta, cicha zupełnie rozmowa. A pan Dyzma w samo prawie ucho szeptał Znajdzie, nikt nie mógł wiedzieć bo nikt nie słyszał; ani też mógł się kto domyśleć.

Jeden tylko stary Franciszek który mimo zimna ciągle płakał i modlił się pod drzwiami, z sieni do kancellaryi idącemi, rozpowiadał później, że gdy raz zajrzał przez szparkę, widział jak pan szambelan, coś długo i uroczyście mówił Znajdzie. A gdy skończył Znajda podniósł trzy palce w górę, jakby przysięgę jaką składał, po czem pan szambelan pociągnął lekko rękę po schylonej głowie sieroty.

Po kwadransie blisko, wyszedł Znajda z kancelaryi, okropnie blady i wzruszony. Nogi zadrżały pod nim, gdy pierwszą za drzwiami zdybał Helenkę.

— Czy już można wejść? zapytała go.

— Już!... odpowiedział tak smutnym i uroczystym głosem, że Helenka zrozumiała odrazu znaczenie tego słowa.

— Już!.. zawołała biedna jękliwym głosem i padła w objęcie Znajdy. Było to zemdlenie tylko, ale ta chwila krótka w której trzymał swoją panienkę, zostanie najdroższą na całe życie sieroty pamiątką.

O wschodzie słońca, w Paryżu syn pijany i bezprzytomny leżał na podłodze u zdradzającej go w tej chwili metresy, a w Chałupińcach ojciec leżał z uspokojoną na zawsze twarzą na katafalku. (D. c. n.)

OBRONA SOKOŁOWA.

Śpiew bohaterski

w IX. pieśniach.

(Dokończenie.)

Drugi kaszosik w ręku Rakszewskiego!
Ten swego Jaśka miał za podczaszego.
Przy trzeciem dziale widzisz Borodaja,
A za podczaszych stoi wielka zgraja.
Bo temu panu każdy pragnie służyć,
By jego męstwo rozszerzyć, przedłużyć.
Czwartą armatą dowodzi Gromada.
Wszak jego kasza i jego dorada,
A za podczaszych miał Ogonków parę,
W całogarncową uzbrojonych miarę.

Więc pierwszy szereg gotów z łaski boskiej,
Jego hetmanem pan Marek Siechowski. —
W drugiem szeregu stali ci mieszczanie,
Którym drobniejsze oddano sikanie,
Tu na ich czele stoi Roch Klekawka.
W którego dłoni największa sikawka;
Z mniejszą sikawką łaciński lingwista,
A obok niego Cisowski basista.
Dalej Kaflowski doświadcza swej broni,
Choć trwoga oczy czarnym kirem słoni.

To drugi szereg; ale był i trzeci,
Tu młodzi bracia, tu czeladź, tu dzieci,
Tym choć na sucho wojować się chciało,
Bo już sikawki i jednej nie stało;
Lecz mężne serce łatwo sobie radzi
I choć na patyk uździenicę wsadzi,
Wlezie jak na koń, piętami wybija,
I słodkie miody z garnka wody spija.
Więc ci bratkowie głusi na przytyki,
Robią potężne z gęby kaszosiki,
Stawiając garnki dziwacznego kroju,
Aby z nich czerpać kaszowego zdroju,
A gdy się zdarzy o łby wrogów rzucać,
I nudne chwile jak najmilej skrócać.

Kto nie należał do tych trzech szeregów,
Był przeznaczony do innych zabiegów,
Więc zapas nogi! od pani Barbary.
Przynoś rycerzom jaglankowe wary.

A pan Przytocki? on wielką buławę,
I dziś piastuje i wstąpiwszy w trawę
Stoi na wale za wieżą chwastową,
Aby przewodzić swą sędziwą głową. —

Ale Tatarzy coś kręcą nosami,
Gdy uzbrojony widzą wał działami,
Zkąd tu armaty? tu między błotami!
Jak dobyć wału, szablą i strzałami?
Stoją jak wryci, zbliżyć się wahają,
I czy iść dalej znów się naradzają.

Tymczasem kilku tatarskich junaków,
Skoczyło naprzód pędem swych rumaków,
A opatrzywszy mieszczańskie tajniki,
Szydercze w śmiechu wydali okrzyki,
„Ha, na proroka! te niewierne szczury,
„Drewniane na strach wyściubili rury!"
A Tatarowie w niebotyczne śmiechy!
Tyle te spiże robią im uciechy.

Krzyknął wódz naprzód! a tatarska tłuszcza,
Śmiejąc się, szydząc, mocny szturm przypuszcza.
Na to Przytocki swą buławą skinął:
Znak Siechowskiemu by walkę rozwinął.

A pan Siechowski chorągiew piastując,
Zdjął niecierpliwie walki oczekując;
Stągł więc z chorągwi konopne pokrycie,
I patrz jak buja chorągiew obficie!
Odsłania obraz Najświętszej dziewicy.
Jako patronki bednarskiej wszechnicy;
Tło z adamaszku jasno czerwonego,
A szczyt chorągwi serca mosieżnego.

Podniósł Siechowski swej godności godło,
Aż mocno sercem w powietrze ubodło.
Machnął trzy razy; a strażnik wsadzony,
Na drzewo, ujrzał ten znak umówiony,
I podniósł rękę! wtem cebrzyki, dzbanki,
Konewki, toną w kipiące jaglanki,
Wychodzą na wierzch jak piece dymiące,
Od wielkiej spieki po ucha gorące,
A kaszonosze po palcach dmuchają,
Gdy nabijaczom naboje oddają.

Krzyknął Siechowski! „hej rurom obroku!"
Już rury pełne kaszego potoku.
Wtedy Siechowski uchyliwszy głowy,
Uroczystemi odezwał się słowy,
«Waleczni bracia! bednarze, garbarze!
«Szewcy, kowale, krawcy i świniarze!
«Dzisiaj wam trzeba jak mur stać na nogach,
«Dziś jak na szkapach trza jeździć po wrogach,
„Dziś trza być miechem, konewką i dzbankiem,
«Bo między dzisiaj a jutrzejszym rankiem,
«Wielka jest przepaść, napełnić ją mamy
«Sławnemi czyny lub w nią powpadamy.
«A więc mieszczanie dalej na Tatary,
«Wiwat Sokołów, i kipiące wary!"

A wróg już blisko po nad fosą stoi,
I łatwym plonem zwycięztwa się poi;
Krzyknął wódz! „na wał!" ruszyli poganie,
A Marek wrzasnął: „hej gościom śniadanie!«
Zajękły miechy, brzuch w zmarszczki ściągnęły,
I z rur paszczęki kipiąki trysnęły;
Tak bucha lawa z wulkanicznej góry,
Zalewa miasta, równiny i dziury!
Kipiąki trysły Tatarom w ślipaki,
W gęby i nosy, uszowe chodaki,
O! Chryste Panie! to im bobu dali,
Jaglanka parzy i piecze i pali,
Ryczą jak woły, chcą otworzyć oczy,
Lecz war kipiący w źrenicy się toczy,
I w gębie krupy, ale tak gorące,
Że nie zjadł by ich ani za tysiące:
Plują, dmuchają, klną Boga i krzyże,
Oto im dały wyszydzone spiże!

Ale nie wszystkich trafiła ta spieka;
Więc część nietknięta spieczonych wywleka,
Stają w szeregu, po deskach stąpają,
Czarnemi dłońmi wału się chwytają,
A tu nie wszystkie nakarmione rury,
Tylko Borodaj ziewnął z miechu dziury.
Padło trzech wrogów, ale inni dalej,
Co raz się wyżej, a wyżej drapali.
Przeto Klekawka wrzasnął «sik!" mieszczanie!
Więc drugi szereg rozpoczął sikanie.

Lecz zemsta kipi od jaglanki gorzej,
Tatar na nowo miota się i sroży,
I znów się wrodzy do szturmu skupiają,
Poległych braci w polu zostawiają,
Więc wójt Przytocki powtórzył skinienie,
Poznał pan Marek tych ruchów znaczenie,
Machnął chorągwią, i patrz! nowe wary,
Wznoszą się z kotłów i wilgotnej pary,
A Tatar siły ostatniej dobywa,
Zgrzyta zębami i wąsami kiwa,
Przypadł do wału; a miechy dmuchają,
Postąpił dalej, sikawki sikają;
Lecz wróg zacięty dziś szatanem w złości,
Nad własną skórą dziś niema litości,
Choć twarze w ogniu, chociaż oczy palą,
Oni się naprzód gęstym tłumem walą.

Wdarli się na wał! więc Marek Siechowski,
Odpiął z chorągwi obraz matki Boskiej,
Spuścił drąg na dół, już dzida gotowa,
I wnet się walka rozpoczyna nowa!
Marek Siechowski dokazuje cudów,
Ciężarem drąga śród olbrzymich trudów,
Wali najeźdców, w gęste kupy dusi,
Mosieżnem sercem do żeber się kusi,
Gniecie i kole, i kole i gniecie,
Dusi i zmiata jak plugawe śmiecie,
Kaleczy, tłucze, a wrogi stękają,
Jak zgniłe gruszki do fosy padają;
Nakoniec podniósł bohaterską dzidę,
Straszna najeźdcom wyrządziwszy biedę!
Chwycił się drąga obiema rękami,
Aby odetchnąć całemi płucami,
A w jego miejsce Roch Klekawka staje,
Do walnej bójki znak mieszczanom daje,
Kazał sikawki używać za miecze,
I zaraz swoją jak pałaszem siecze;
Więc drugi szereg tłucze sikawkami,

Rąbie Tatarów jakby toporami,
Grzmocą niezmiernie, zostawiają znaki,
Guzy na czołach, na twarzach siniaki.
Wróg przerażony, na oślep się ciska;
Daremnie w dłoniach miecz stalowy błyska,
Bo w gęste masy drągalem stłumiony,
Daremnie pragnie poruszyć ramiony.

Widząc Przytocki gdy patrzy zdaleka,
Że trzeci szereg na rozkazy czeka,
Do gęby ręce nakształt trąby sadzi,
Dając znak walki garnkowej czeladzi,
Więc ci, niegnuśni na rozkaz takowy,
Grzmotli garnkami o tatarskie głowy,
Pękły na głowach naczynia gliniane,
I łby pogańów kipiąką zalane.
Ugrzęzły w czaszkach garnkowe czerupy,
Palą i pieką rozognione krupy,
Ryczą najeźdcy niedźwiedziemi tony,
A nowa furya z drugiej biegnie strony:
Wyrwał Borodaj dyszel od wasąga,
Koniec laseczki pod pachę podciąga,
Wykręcił młynka, straszne koło zrobił,
I w okrąg siebie wszystko stłukł i pobił!
I podniósł dyszel! a zagłady jędza,
Do srogiej zemsty rycerza zapędza,
Wali na ziemię wrogów tuzinami,
I spycha z wału dyszla szturkańcami;
Więc Rękasowski pochwycił za koło,
I w innej stronie stawia wrogom czoło,
Miota jak piłką na lewo na prawo,
Równając wrogów z zakrwawioną trawą,
A geometra wzniósł wasąg do góry,
I kiedy z wrogów przybliży się który,
Wali na niego wszystkiemi siłami,
Ten nowomodny kapelusz z uszami!
Hryć widząc w dyszlu za mocną naturę,
Złapał w pospiechu za armatnią rurę,
Objął w ramiona jak najmilsze dziecię,
Tulił do łona jak w miękkie powicie!
Lecz wnet jak Goliat Filistrów murami,
Potrząsł swym gmachem nad wrogów głowami,
Runął gmach o ziem, najeźdcy runęli!
A rura wstała i znów innych ścieli!

Takich przykłady wszystkich ożywiają,
Nawet i tchórze w bójkę się mięszają,
Nawet Kaflowski tnie wroga bestyę,
I Safandulski jaka się, a bije!
Nawet i Jankiel z ławkami, stołkami,
Potłuczonemi szklankami, dzbankami,
Wyruszył w pole, rzucił między wrogi,
A ostre wrogom szkło kaleczy nogi,
Skaczą do góry dziwnemi pląsami,
A szkło w chodaki ciśnie się dziurami.

Ale mieszczanie gdy się rozruszali,
Już bez przestanku tłukli, rozbijali,
Byliby może do zachodu słońca,
Bili i tłukli, a może bez końca,
Gdyby ktoś nie był spostrzegł, Bogu dzięki!
Że wał od wrogów dawno puściusieńki!
Więc bić przestali, patrzą, gdzie poganie?
A Tatar ledwo wlecze się po łanie,
Zmyka jak może, kuleje, chyrleje,
Rzuciwszy słodką zdobyczy nadzieję;
A rajterując wciąż zgrzytał zębami,
Zamiast muzyki z bębnami z trąbami.

Zato mieszczanie gardła rozpuszczają,
„Gloria! victoria!" wołają, śpiewają,
Jeden drugiego ściska i całuje,
I niby z książki ślicznie rozumuje.

Wyszedł burgrabia i pod gołem niebem,
Wita mieszczanów ze solą i chlebem:
„Witajcie dzielni pogromcy poganów,
„Waleczni męże, ozdobo mieszczanów.
„Wyście dowiedli, że kto chce, to może!
„Że duch swobody rozpromieni zorzę,
„Że miłość, wola, olbrzymią potęgą,
„A świetny przykład dla ludzkości, księgą.
„Niechaj rozniesie głos sławy przed światem,
„Że mieszczan wart jest być szlachcica bratem!"
I dłoń swą podał z osobna każdemu,
Uścisnął mile ręce po staremu.

Tymczasem ołtarz pod lipą ubrano,
I hymn: „Te Deum!" ze skruchą śpiewano,
Nawet ksiądz pleban, choć na gościec chory,
Dał się sprowadzić z wygodnej komory,
On śpiew rozpoczął, a dalej Lewicie,
Choć twarz zdrapana, śpiew szedł należycie.
Powszechna radość! nawet Ogonowski,
Choć w bitwie kaszą sparzył go Kaflowski,
Taki był wesół, humoru takiego,
Że czule ścisnął szewca Kaflowskiego,
Ba! i Barbara czoło wypogadza,
I stare wdzięki, gdzie trzeba wysadza,
Ogólna zgoda, ogólne wesele!
Tylko Cisowski cichy jak w kościele.
Postrzegł Borodaj Piusa frasunek,
Więc zaraz niesie bratni poratunek,
Odetchnął, ryknął: „Wiwat nad wiwaty!"
A głos jak z ciężkiej wystrzelon armaty,
Przeniknął wszystkich; więc wiwaty brzmiały;
Aż skoczył Pius przemieniony cały,
I w okamgnieniu pan Jankiel się zjawił,
Swoją apteczkę po dworze rozstawił,
Wnet się zjawiły i skrzypce i dudy,
Więc hulatyka, podskoki, przysiudy,
Pani Barbara skoki rozpoczęła,
I polonesa z Siechowskim wycięła,
Inne mieszczanki z innymi się plączą,
Kręcą się, wiercą, dzielą się i łączą,
Coraz to rzadsze pląsających pary,
Szklanki się chwyta i młody i stary,
Umilkły tony, niepodobne skoki,
Głowa się kiwa i ciemnieją wzroki,
Już pan Aurora leży pod lipami,
I łacińskiemi szwargocze słowami,
Leży Grabarski obok Kaflowskiego,
Padł Safandulski na pierś Grabarskiego,
Umilkły dudy, poprzestały tany,
Starzy i młodzi leżą jak barany.

A pan Przytocki z panami plebany,
Od burgrabiego mile przyjmowany;
Siedzą w alkierzu, węgrzyna spijają,
I stare dzieje czule spominają.

Lecz na podwórzu anioł upojenia,
Zmiótł prawie wszystkie mieszczańskie stworzenia,

A ci, co jeszcze na swych nogach stali,
W dobrane grono razem się zebrali,
Tu na ich czele Jan Pius Cisowski,
A obok niego pan Marek Siechowski,
Tuż Rękasowski, Borodaj, Gromada,
Rakszewski, który w geometryi bada,
Wkońcu Klekawka, oto grono całe,
Szczupłe lecz mężne, potężne, wytrwałe!
Wstąpił Cisowski w środek tego koła,
I kufel miodu wzniósł powyżej czoła,
Otworzył gębę, odkrząknął, zaśpiewał,
A każdy z braci wtórem potakiwał:

Pieśń Cisowskiego.

1. Pił Kuba do Jakóba,
Jakób do Michała,
Wiwat ty, wiwat ja,
Kompanija cała,
A kto nie wypije,
Tego we dwa kije,
Łupu cupu, cupu łupu,
Tego we dwa kije.

2. Pijmy zdrowie, co się zowie,
Przewielebnych Stanów,
Króla pana, wojewodów,
I wielkich hetmanów!
Kto zdrowia nie pije,
Tego we dwa kije,
Łupu cupu, cupu łupu,
Tego we dwa kije!

3. Tego grodu konwią miodu,
Pijmy bracia zdrowie!
Jego sława niech zagruchnie,
Po świata połowie!
A kto nie wypije,
Tego we dwa kije,
Łupu cupu, cupu łupu,
Tego we dwa kije!

4. Hej mieszczany, w pełne dzbany,
Przytockiego zdrowie!
Niech nam żyje w mnogie lata,
Wójt na Sokołowie!
Kto zdrowia nie pije,
Tego we dwa kije!
Łupu cupu, cupu łupu,
Tego we dwa kije!

5. Hej garbarzów, hej bednarzów,
Co tłukli pohanów,
Szewców, krawców, lakierników,
Zdrowie spółmieszczanów!
A kto nie wypije,
Tego w cztery kije!
Łupu cupu, cupu łupu
Tego w cztery kije!!

A. Morgenbesser.

Sewastopol.

(Dokończenie.) — Od pyroskafu płynęły łodzie ku brzegowi, a inne udawały się od brzegu ku pyroskafowi; byli to morscy oficerowie i ich familie odwiedzające kapitana naszego statku; w tem przybiła do brzegu wielka łódź, na której tyle siedzenia były wybite pąsowem suknem; piętnastu majtków w białem ubraniu i takiego koloru czapkach, robiło silnie wiosłami, była to łódź wice-admirała, który używał przejażdżki po morzu z swoją familią, żoną, dwiema córkami i 15-letnim chłopcem; wysiedli, zaświstał sygnał i łódź odbiła od brzegu i jak strzała poniesła się daleko ku statkowi, na którym była wywieszona admiralska bandera. Wieczór był cudowny, odpłynęliśmy na morze, i nim wróciliśmy na statek, długo jeszcze pływaliśmy wzdłuż brzegu, patrząc na pstre jego gruppy, snujące się tam i sam w pomroce nocy i słuchając dźwięku muzyki, która raz całkiem głuchła, to znowu wyraźna i pełna dolatywała do nas na skrzydłach podmuchów lekkiego wietrzyka. Na Jenikale wielka kompania dam i oficerów piła herbatę, pod rozpuszczoną markizą, wesołe opowiadania, żarty i śmiechy krzyżowały się na przemian. Wspominając o morskich oficerach muszę tu wyznać, iż fizyonomia marynarzy jest wcale różną od fizyognomii wojska lądowego. Czytając romanse Maryata utworzyłem sobie dziwny obraz życia majtków na okręcie, srogiej dyscypliny i tych kar okrutnych jakie się praktykują u Anglików, za pośrednictwem bykowca. Albo znów ta kompletna zawisłość we względzie służby młodszego od starszego oficera. Prawda, iż tam idzie rzecz o służbie morskiej wojennej, a ja byłem na statkach pocztowych, i tu miało się całkiem inaczej. Majtkowie nie okazywali ani przestrachu przed oficerem, ani wyciągali się przed nim ustawicznie; będąc bowiem wiecznie na pokładzie, nie mogli co chwila schwytywać się i prostować, siedzieli więc sobie spokojnie w czasie kiedy przechodził oficer, siedzieli nawet dosyć niedbale w swoich zasmolonych bluzach i szarawarach, prowadząc pomiędzy sobą na wpół ucinane rozmowy, w języku niby ruskim, bo z akcentem całkiem mazowieckim; słysząc tę dziwną mowę zgadywałem iż miałem przed sobą mazurów, mówiłem więc do nich po polsku ale mowa polska była jeszcze trudniejsza. Oficerowie żyją tu jak bracia; będąc wiecznie razem na morzu, bo ledwo kilka dni w przeciągu dwóch tygodni stoją z rzędu w Odessie, wiecznie odbywają tę samą drogę pomiędzy Teodozyą a przedostatniem miastem. Kapitan chodził tu w białym burnosie z ostrym kapiuszonem jak kameduła, dwóch poruczników w granatowych krótkich twinach tylko z białemi tasiemkami na ramionach i białemi czapkami z gwiazdeczką czarną na przodzie, co ich różniło od pasażerów. Młody miczman sam jeden tylko nosił mundurowy surdut i złote epolety, ale za to miał na głowie słomiany kaszkiet, konieczną oznakę morskiej swobody. Ten młody oficer ustawicznie był przy damach odwiedzających wraz z mężami nasz pokład; szczególnie zajmował się jedną, ale już było po ósmej, mąż podał rękę, łódź stała na dole, na próżno miczman starał się zatrzymać choć na pół godziny, dama może byłaby nie od tego, ale mąż czegoś się bardzo spieszył, tak iż żona sobie zaczęła powtarzać, że nie można, że już późno, iż potrzeba koniecznie wracać. Oficer powisł na poręczy pokładu, i nie mogąc ramieniem, wzrokiem przynajmniej sprowadzał młodą kobietę po wąziutkich schodkach do chybkiej łodzi, stojącej na dole, która chwiała się ustawicznie, i gdyby nie kruki przewoźników, któremi ci odpierali ją od okrętu, rozbiłaby się o jego czarne ściany. Nareszcie dama usiadła koło męża, widocznie uradowanego, iż pomiędzy nim, jego żoną, a miczmanem — morze. Adieu! wyrzekł nareszcie szyderczym tonem, ogartując wiotką talię żony białą mantylą; adieu — jedź, i kłaniaj się tatarkom.“ Ale oficer nie zważał na sardoniczny uśmiech męża i ponurym głosem wyrzekł do żony: „żegnam panią, ale wspomnienia o tych chwilach pozostaną na zawsze w mem sercu! Dosyć, odrzekł mąż, dosyć tych czułości. Bądź pan zdrów! Kiedy damy się wyniosły, tłusty komisant zrzucił chustkę z szyi i nalegał na porucznika aby odpływać. Pora już panie poruczniku zaprzęgać konie i jechać! Na ten koncept wszyscy zaczęli się śmiać, ale statek nie mógł odpłynąć raniej jak o dziesiątej, zostawała jeszcze godzina i kwadrans. Miasto błyskało światełkami; gwar do-

chodził do nas i wiatr donosił czasami tęskne tony rogowej muzyki, nawet przylatywały tu srebrne śmiechy kobiecych głosów, nie dalej bowiem byliśmy od brzegu jak o 150 kroków. Nareszcie niespodzianie wystrzał armatni rozległ się po brzegu, i tu i tam powtórzył się echem, odbijając się po kilkakrotnie o mury baszt, ciągnących się po obu stronach portu. Była to dziewiąta! Morski czapstrzyk. Coraz się więcej ściemniało, fale przybierały kolor czarny, na masztach stojących w porcie statków błyskały latarki, i dzwon tu i owdzie wybijał kwandranse na pokładach okrętów. O pół do dziesiątej para zaczęła świstać przeraźliwie; gwizd przez kwandrans powtórzył się znowu, wzywając opóźnionych pasażerów na pokład; zaczęto zdejmować kotwicę, i ciszę przerywał ponury dźwięk ciąganych po pomoście łańcuchów; nareszcie puszczono parę, ostatni świst dał się słyszeć jeszcze i statek począł się nareszcie ruszać i oddalać od brzegu Sewastopola, którego światełka coraz to więcej gasły. W oddaleniu jeszcze tylko łuna, jak zorza północna błyskała w powietrzu, nakoniec i to znikło i zostaliśmy sami na morzu, w pośród ciemnej nocy; było cicho, tylko koła szumiały i fale pluskały o boki okrętów.

A. Nowosielski.

Teatr.

Benefis i występ ostatni panny Szuszkiewiczównej, był prawdziwym wieczorem pożegnania i rozczulenia. Nie wiemy, czy to stoliki magnetyczne (taki był tytuł komedyjki) dnia tego odegranej, zdziałały, ale niezawodnie widzów i scenę połączył jakiś związek sympatyczny, prawdziwie *hydromagnetyczny*, jak się w rzeczonej sztuce wyrażał Gapiełło (p. Rutkiewicz), bo z jednej strony była sympatya, a z drugiej strony rozczulenie aż do łez doprowadzone. Najpierwszy tego dowód mieliśmy przy mazurku *tęsknota*, który odśpiewała dosyć ładnie p. Schreiber-Kirchberger po polsku, i byłaby zapewne stosownie do swego znakomitego talentu daleko ładniej odśpiewała, gdyby nie wzruszenie jakiego doznała, i zbytnia uwaga jaką przykładać musiała do wygłaszania śpiewki w języku więcej obcym dla siebie. Owóż skoro wystąpiła na scenę ta artystka, przyjęła ją publiczność kilkokrotnie powtórzonemi i szczeremi oklaskami. Po ukończeniu zaś śpiewki trzykroć i to z zapałem wywołana, zebrawszy bukiety i wieńce rzucone jej, gdy wyszła po raz trzeci, była aż do łez rozczulona. Była to zaiste tem milsza dla niej niespodzianka, że dniem wprzódy, gdy przy przedstawieniu *Profety* afisze ogłosiły ostatni występ p. Schreiber-Kirchberger, skąpemi tylko pożegnano oklaskami tę zewszechmiar znakomitą i miłą śpiewaczkę. Tak pożegnana przez swoją właściwą publiczność, na opery niemieckie uczęszczającą, czyliż nie musiała być przyjemnie wzruszoną, przyjęciem jakiego doznała od publiczności polskich widowisk. Było to wyrażenie ze strony publiczności polskiej, przynoszące zaszczyt jej uczuciom wdzięczności za tych kilka słów, odśpiewanych po polsku przez artystkę niemiecką. Podobny epizod powtórzył się, gdy po ostatniej scenie quodlibetu, panna Szuszkiewiczówna rzęsistemi wywołana oklaskami, żegnała się z publicznością. Wdzięczność swoją za względy od tutejszej publiczności doznane, wyraziła wierszem i śpiewem. Publiczność umiała ocenić te jej dobre chęci, i przyjęła szczerze i wiersz i śpiew, które zastósowane do okoliczności nie podlegają sądowi krytyki i zawdzięczyła je sutemi oklaskami, i kilką bukietami. Mówiąc o śpiewie, nie możemy opuścić ślicznej śpiewki: *biedny rolnik* odśpiewanej przez p. Köhlera. Muzyka do niej, pełna narodowej rzewności, jest utworu księcia Kazimierza Lubomirskiego, znanego ze swych kompozycyi muzykalnych, mających zwykle wybitny charakter polski. Odśpiewał zaś ją p. Köhler bardzo dobrze; ma on głos nadzwyczajnie przyjemny, i do takich mianowicie piosnek wielce stosowny. Co do części dramatycznej tego wieczora, wszystkie sceny quodlibetu, były przez naszych artystów polskich prawdziwie *con a more* odegrane; mianowicie scena z rozbójników Szyllera; Smochowski jako Franciszek Moor przypomniał nam dawniejsze i młodsze lata w których podziwialiśmy równie jak teraz jego mistrzowstwo w odegraniu tej wielkiej i trudnej roli; scena z *Ciotuni niebezpiecznej* odegrana przez p. Aszpergerowę i p. Nowakowskiego z prawdą wykonania, która całą publiczność serdeczną przyjęła wesołością, i nareszcie scena z *Okrężnego:* panna Szuszkiewiczówna oddała w niej rolę dzieweczki mazurskiej z wielkiem życiem, i przedziwną naiwnością. Komedya jednoaktowa: *Stoliki magnetyczne* która rozpoczęła widowisko, była głównym powodem tego publiczności sympatycznego usposobienia, bo wszystkich wprowadziła w dobry humor. Jestto komedyjka nie szczególna co do układu, ale że żywo a czasem dowcipnie bije w tę dzisiejszą manię, stolikową, pobudzała widzów do szczerego śmiechu. Jest to dla znających teatr warszawski, utwor należący zupełnie do repertoarza warszawskiego teatru „Rozmaitości.“ Dialogi żywe, sprytu dosyć, a jeszcze więcej aluzyi rozmaitych, których rubaszność śmieszna zapewne, chociaż nieraz nadto przezroczysta. Jednem słowem, zawdzięczamy pannie Szuszkiewiczównej wieczór przyjemnie i wesoło spędzony, i tem milszą zachowamy jej pobytu u nas pamiątkę.

Bo.......

* **Na koncert niedzielny** zebrała się dosyć znaczna liczba słuchaczów. Pan Kessler zajmował się urządzeniem i dyrekcyą koncertu i sam po kilka razy siadał do fortepianu, akompaniować śpiewom, skrzypcom, wiolonczeli. Wszystkie koncerta urządzane i kierowane przez pana Kesslera odznaczają się doborem artystów i piękną egzekucyją. Z dwunastu numerów wykonanych w koncercie niedzielnym niebyło ani jednego, któryby się niepodobał, nie zajął słuchaczów. Z śpiewów solo najwięcej zachwycała wszystkich pieśń *Mein Liebchen was willst du mehr?* odśpiewana przez panią Kirchberger, z chórów na głosy męskie ostatni śpiew religijny Richtera a osobliwie finale tego śpiewu. Głos pana Kunz który odśpiewał balladę Uhlanda: klątwa śpiewaka mniej się wydać może w śpiewie koncertowym. Miasto nasze posiada bardzo wielu muzyków dyletantów albo przynajmniej nie koncertantów, którzyby w grze koncertowej z pierwszymi mistrzami mierzyć się mogli. Iluż to słyszeliśmy koncercistów w naszem mieście, którzyby u pana Kesllera, Milana lub Ruckgabera uczyć się jeszcze mogli. Młodziutki pan Marek, który w niedzielę odegrał fantazyą z opery: Wilhelm Tell, kompozycyi Doehlera, zdumił wszystkich swą grą artystowską; czystością nadzwyczajną i pełnością tonów, nawet śród przełamywania największych trudności, odznacza się gra jego. Pan Marek stanie niezawodnie w szeregu sławniejszych naszych muzyków. Jest on uczniem pana Hellebranda. Z uniesieniem przywołano go hucznemi oklaskami po dwakroć. Również podobała się gra na skrzypcach pana Zimmermana i znane powszechnie Servai-go: *Souvenir de Spa*, fantazya na wiolonczelę, odegrana przez pana Goebelt.

Rozmaitość.

* **Uroczystość zaślubin Najjaśniejszego Pana** solennie obchodzona będzie we Lwowie. W wszystkich świątyniach odbędzie się najpierw nabożeństwo; po nabożeństwie nastąpi podpisywanie adresu z hołdem gratulacyjnym dla **Najjaśniejszej pary**. W południe na koszt miasta i prywatnych rozdane będą dary i obiady wszystkim w domu ubogich i kalek pomieszczonym; 50 kalek chrześcijańskich i 200 izraelickich sierot otrzymają odzież, pierwsi z funduszu ubogich drudzy z izraelskiego funduszu dla sierot. Dla owych 12 inwalidów którzy z miejscowego funduszu lwowskiego dla inwalidów otrzymują wsparcia, będzie dany obiad, przyczem i rozmaite dary między nich rozdzielone będą. Na dom pracy dla izraelitów położony będzie kamień węgielny. Wieczór zaś nastąpi Teatr parè i illuminacya miasta i przedmieść.

Nazajutrz dany będzie wielki koncert przez towarzystwo muzyczne. Wszystkie znakomitości w dziedzinie muzyki wezmą w tym koncercie udział.

Oprócz tego z pamiątką tego dnia połączone będzie założenie kilku dobroczynnych zakładów we Lwowie które wtych czasach do skutku przychodzą; jakoto: 1). Nowe zaprowadzenie zakładu wychowania dla sierot płci obojej z legatu ś. p. opata Hofmana i fundacyi obywateli lwowskich. Dotąd dawano sierorom z tej fundacyi pieniężne wsparcie roczne. 2). Urządzenie czwartej miejskiej szkoły głównej u ś. Mikołaja, która nazwisko szkoły Elżbiety otrzyma. 3). Położenie kamienia węgielnego na budowę zakładu dla sal ochrony dla starszych dzieci i niemowląt. 4). Położenie kamienia węgielnego na drugi miejski dom dla 200 ubogich.

Również 24go kwietnia na cześć zaślubin Najjaśniejszego Pana rozpoczną strzelcy miejscy strzelania do celu, które 10 dni potrwa. Czysty dochód z tych ćwiczeń oddany będzie na fundusz pożyczkowy Franciszka Józefa dla uboższych rękodzielników.

△ **Z pod Cieszanowa.** — Jestem nieprzyjacielem wszelkiej skwapliwości w donoszeniu złych wieści, bo smutną jest rzeczą być ptakiem złowrogim, w kraju dotkniętym najsroższą klęską, bo zmorą głodową. Ale są wypadki, gdzie sercu ludzkiemu milczeć niewolno, są klęski wołające głośno o pomoc do Boga, która zstępuje do nas w modlitwie gorącej i w tem to współczuciu i w tej gotowości swoich i obcych, spieszącej zawsze z pomocą gdzie ogień lub woda, szerząc swe straszne zniszczenie, zostawia po sobie rozpacz ludzi bez dachu, bez chleba. —

Taka to okropna klęska dotknęła miasto Cieszanów w obwodzie Żółkiewskim, takim to okropnym wypadkiem był pożar wybuchły w nocy z 7go na 8my kwietnia; a pastwą jego są trupy ludzkie, jest miasto całe, jest mienie tysiąca rodzin, rozwiane dymem i popiołem po świecie, a jedynym znakiem przedtem zamożnego, z Gdańskiem handlującego miasta, są czarne kominy, i skopcone mury, sterczące tu i owdzie jak grobowe cienie pośród głuchej ciszy. —

Tak dziś wygląda Cieszanów, a z gruzów dzwignąć go może tylko dobroczynna ręka całego kraju, może go tylko dzwignąć pomoc tak potężnego państwa, jak to pod którego berłem żyjemy, może go tylko dzwignąć ten potężny udział ludzkości, jakiego doznał po podobnej klęsce niegdyś Hamburg, a w ostatnich latach Kraków. A jeżeli jemałe miasteczko polskie niesprosta zamożności miast portowych, jeżeli w kartach dziejów niestoi poważnie obok miast historycznych, to nędza ludzi, jest i tu ta sama, i łzy te same, i rozpacz ta sama, a więc i pomoc ta sama być winna. — Dla tego to podnosząc głos nieśmiały, głos żebrzący o pomoc dla biednych, podnoszę go pełen nadziei, że niebędzie głosem wołającego na puszczy. — * *

Do wymownej tej odezwy dodajemy to oświadczenie, że wszelkie dary dla ogołoconych ze wszystkiego mieszkańców Cieszanowa przyjmuje księgarnia H. W. Kallenbacha i dla sprawdzenia w Nowinach wymieniać będzie. Zebrane złoży przeznaczonym do zajęcia się tą sprawą osobom.

* W chwilach jak obecna, wszystkie dzienniki przybierają pewną barwę, czy one są religijnej, politycznej, beletrystycznej lub przemysłowej treści. Ciekawe byłoby zestawienie jak się dzienniki w obecnej kwestyi ugrupowały. Wszystkie dzienniki niemieckie, nie wyjąwszy nawet i dziennika: „Humorist" który już dawniejszą zwijać poczyna chorągiewkę, stanęły przeciw Rossyi; naturalnie, każdy umieszcza w swoim zawodzie i z swego stanowiska artykuły, mniej więcej nieprzychylne Rossyi. Wszystkie zaś dzienniki sławiańskie: serbskie, kroackie, słoweńskie, czeskie, umieszczają w swych kolumnach to wszystko, co tylko w bożym świecie kto kiedykolwiek powiedział lub powiada na korzyść Rossyi. Na czele tej dążności stoi Wiestnik Słoweńskie Nowiny i t. d. a w gorliwości wszystkich przechodzi Zorja halicka. Nawet polska Gwiazdka Cieszyńska tym samym sławiańskiej miłości puszcza się torem a artykuły kierujące Czasu, pisane z Wiednia i z Berlina, z pośpiechem przedrukowywane i tłumaczone znaleść można po dziennikach w Rossyi wychodzących.

* Polecono nam donieść, iż pismo: „Przyjaciel domowy" nie otrzymało jeszcze dotąd pozwolenia umieszczania wiadomości politycznych. Wiadomość przez nas w przeszłym numerze podana, zdawała się nam bardzo pewną; słyszeliśmy ją bowiem z ust samego redaktora.

Na fundusz biblioteki dla uczącej się polskiej młodzieży w Proszkowie złożył: Franciszek Świstelnicki z Koropca 5 Złr. m. k.

Przyjechali dnia 7. 8. 9. 10. i kwietnia do Lwowa:

PP. Czerwiński Michał, z Stryja. Dobrzański Marcell, z Milatyna. Ginilewicz Grzegorz, z Jaworowa. Rojowski Felix, z Cieszanowa hr. Stadnicki Jan. z Tarnowa. Zagórski Michał, z Krakowa.

PP. Bal Jan, z Nowosiółek. Bal Franciszek, z Tuligłów. Bocheński Jan, z Uniowa. Dolański Ludwik, z Rakowa. Kęplicz Hilary, z Starych Brodów. Lang Ignacy, z Wolicy. Ohanowicz Łukasz, z Miłowania. ks. Poniatowski Kalixt, z Horyńca. Skolimowski Julian, z Konczak. Stokłosiński Felix, z Medenicy. Szlegel Lubin, z Rykowa. hr. Skarbek Jan, z Tarnopola. Turczyński Jan, z Soposzyna. Winnicki Tytus, z Liska. Zagórski Wicenty, z Podburza. Zagórski Mieczysław, z Wołkowa. Żarski Kazimierz, z Kulawy.

PP. Biliński Dominik, z Czyżykowa. Bogdański Henryk, z Stryja. Gross Piotr, z Sambora. Kuzmiński Michał, z Mikołajowa. Nahojowski Antoni, z Czernicy. Niezabitowski Włodzimierz, z Koropusza. Serwawatowski Wojciech, z Szczepanowic. Sozański Sylwester, z Kornalowic. Tomanek Jan, z Stanisławowa.

P. Sobestyański Felix, z Żółkwi.

Wyjechali dnia 7. 8. 9. i 10. kwietnia ze Lwowa:

PP. Dobrzański Stanisław, do Daszawy. Drohojewski Ludwik, do Jarosławia. Dylewski Julian, do Krakowa. Eminger Grzegorz, c. k. radca foralny, do Krakowa. Garwoliński Wicenty, do Złoczowa. hr. Komorowski Ignacy, do Zborowa. Korostyński Marcin, do Zborowa. Krahl Ludwik, do Przemyśla. Kraiński Maurycy, do Rzeszowa. Krzyżanowski Felix, do Tarnopola. Skrzyński Stanisław, do Przemyśla. Sozański Wicenty, do Tarnopola. Wajdowski Paweł, do Rawy. Wiśniewski Jan, do Kurowiec.

PP. hr. Borkowski Mieczysław, do Melnicy. Górski Henryk, do Złoczowa. Jankowski Wojciech, do Milna. Kieszkowski Walenty, do Tarnowej Wiśni. hr. Komorowski Piotr, do Bilinki. Szumann Jan, do Stryja. Smalawski Leon, do Rolowa. hr. Starzeński Adam, do Przemyśla. Wybranowski Roman, do Horodysławic.

PP. Cywiński Franciszek, do Delejowa. Fedorowicz Jan, do Grzymałowa. Gruszkiewicz Julian, do Brodów. Janiszewski Julian, do Mikołajowa. Jawornicki Eustachy, do Przemyśla. hr. Łoś Włodzimierz, do Gaj. Okornicki Felicyan i Karol, do Rozdołu. Sumper Karol, do Złoczowa. Tarnowiecki Dyonizy, do Brodów. Zagórski Wicenty, do Podburza. Zagórski Mieczysław, do Wołkowa. Żarski Kazimierz, do Bochni. Zawadzki Józef, do Stryja.

P. Baczyński Antoni, do Starzawy.

Kurs lwowski.

Dzisiejszy.		Gotowką				towarem.		
Dukat holenderski	zł r.	6	kr.	8	zł r.	6	kr.	13.
Dukat cesarski	"	6	"	12	"	6	"	15.
Półimperyał zł. rosyjski	"	10	"	45	"	10	"	50.
Rubel srebrny rosyjski	"	2	"	4	"	2	"	5.
Talar pruski	"	2	"	1	"	2	"	3.
Polski kurant i pięciozłotówka	"	1	"	31	"	1	"	32.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	"	92	"	30	"	92	"	50.

Kurs telegrafowany z Wiednia wczoraj o 2 g. popołud.

Amszterdam	$113\frac{1}{2}$.	Marsylia	$159\frac{1}{2}$.
Augsburg za 100 złr.	$135\frac{1}{4}$.	Medyolan za 300 lirów	$132\frac{1}{2}$.
Bukareszt	—	Paryż za 300 franków	$159\frac{5}{8}$.
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy	$134\frac{7}{8}$.	Agio duk. ces.	$39\frac{1}{2}$.
		Srebra agio	35.
Genua	—	Pożyczka 5% $86\frac{3}{4}$. $4\frac{1}{2}$	$77\frac{1}{8}$.
Hamburg za 100 tal. banco.	101.	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol	—	Akcye banku	1200.
Liwurno		Kolej północna	2245.
Londyn za 1 funt szterl.	13. 16.	Obl. ind. 5%.	—

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**